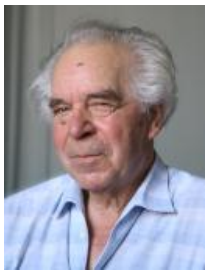

ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin

Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Warszawa, II wojna światowa, okupacja niemiecka, matka, ojciec, edukacja, komplety, polszczyzna, język literacki, egzekucje uliczne, zapasy żywieniowe

Życie w Warszawie podczas okupacji

Mieszkaliśmy w Warszawie przez parę lat. Głównie kojarzę sobie tę Warszawę poprzez obraz ulicy Chałubińskiego, a więc w pobliżu obecnego dworca centralnego, ulicy Oczki, gdzie były zakłady szpitalne, klinika obecnie też Akademii Medycznej. Naprzeciwko naszego domu małego, bo to był parterowy domek, w którym mieszkaliśmy jakiś czas, znajdował się ten wysoki budynek PKP, czyli kolejowy jakiś. On tak też w tej pamięci mojej został jako budynek kolejowy, ale nie umiem powiedzieć, czy rzeczywiście to tylko była administracja kolejowa w tym domu. Myśmy tam mieszkali, był to jeden pokoik i taka kuchenka, wnęka i po przeciwnej stronie korytarza, takiego wydłużonego korytarza, mieszkał Niemiec, który był kolejarzem, który w mundurze kolejowym był. Ponieważ on samotnie tam mieszkał, więc co jakiś czas przychodził do nas – a to tam wrócił z jakiejś podróży, więc o jakąś herbatę prosił, do mojej matki się zwracał i uzyskiwał pomoc taką bieżącą. Ale pamiętam, że on musiał jako ten kolejarz też jeździć w transportach na wschód, później jak już wybuchła wojna niemiecko-radziecka, bo wracając stamtąd, opowiadał z przerażeniem, jak ta wojna wygląda tam, jak to mordowanie ludzi wygląda, że często żołnierze strzelali z tego pociągu, który on chyba prowadził albo był takim kierownikiem tego pociągu. I to wzbudzało przerażenie, on przychodził i w takiej jak gdyby komitywnej tajemnicy przekazywał wszystko, co tam widział. „A to jest wszystko bardzo złe, to do niczego nie prowadzi, Niemcy nie zwyciężą, przegrają tę wojnę”. Czyli był taki przerażony, ale to był starszy mężczyzna, on miał już może nawet około sześćdziesięciu lat. Wyjeżdżał na urlop, do rodziny wyjeżdżał tam, wtedy brał bardzo dużo żywności. Prosił nawet moją mamę, żeby kupiła tam jakieś kury, kaczki, gęsi z targu czy coś takiego. Czyli ten obraz był taki jak gdyby przekazywany obok nas.

Ojciec działał w organizacjach [Polskiego] Związku Zachodniego, tam prowadził jakieś komplety, nigdy w domu. W domu nigdy nie było takiej sytuacji, żeby do ojca

przychodziły jakieś dzieci i uczyły się. Ja chodziłem na podwójne komplety. Ja teraz sobie przypomniałem, bo tam czegoś szukałem w dokumentach, ja mam zaliczoną właściwie tylko jedną klasę tej szkoły powszechnej, teraz zwanej podstawową, czyli skończyłem klasę szóstą, natomiast wcześniej nie chodziłem do żadnej szkoły. Ta niemiecka w Lubawie i Pelplinie to było parę miesięcy najwyżej. Chodziłem na komplety, na takie lekcje z historii do księdza Glamowskiego. W Generalnej Guberni pojawiło się dużo księży z Pomorza, bo oni uciekali przed represjami ze strony Niemiec. To był ksiądz, który po wojnie był proboszczem w Brodnicy. I on mnie uczył, musiał być pewnie przed wojną jakimś studentem czy może pracownikiem, nie sprawdzałem tego, seminarium albo uniwersytetu, tak mówię na podstawie biblioteki olbrzymiej, która była w pokoju, w którym mnie uczył i prowadził rozmowę. Natomiast drugi rodzaj jak gdyby też lekcji nieoficjalnych to były godziny spędzone u księdza Stefana Trzcińskiego. To był mój wujek, syn tej ciotki z Golubia, u której się zatrzymaliśmy, uciekając do Warszawy. On mnie przygotowywał również do pierwszej komunii świętej. Od księdza Glamowskiego brałem jakieś takie historie Polski, takie opowiadania jakieś, bardzo ciekawą miał biblioteczkę i to było moje tam uczenie się, czyli takie komplety. Czy to było w tym samym czasie, to trudno mi powiedzieć. Może ja do tego księdza Glamowskiego chodziłem wtedy, kiedy mieszkaliśmy na Marszałkowskiej 56, bo on mieszkał na ulicy Skorupki, to był bardzo mały dystans. Nam jako dzieciom przecież nie pozwalano tak tej Warszawy zwiedzać. Warszawę bliską to pewnie tak, ale inaczej to nie było możliwe. W jakimś roku, myślę, że to był 1943 rok, przyjechał z Pomorza taki chłopak, którego matka była *Reichsdeutschem* i była normalnie tam na Pomorzu, natomiast ojciec tego chłopaka uciekł. On nie miał nic wspólnego z niemieckim rodowodem, a był oficerem. Uciekł i znalazł się w Warszawie i ten chłopak, jak miał chyba szesnaście lat, został wysłany przez matkę do Warszawy. Jak to było możliwe, to nie wiem, ale to wszystko było możliwe. I ten ojciec, który był w Warszawie, przyprowadził tego swojego syna, szesnastolatka, do nas, żebyśmy może razem zwiedzali Warszawę. To było parę dni, chodziliśmy z nim i zwiedzaliśmy Stare Miasto, byliśmy tam w tej rotundzie. I tam, pamiętam, go pobili tacy łobuziacy, jacyś chłopcy z Warszawy. Pretekst do pobicia był żaden – on coś się odezwał i powiedział po pomorsku. To zwróciło uwagę przechodzącej grupy chłopaków na jego akcent, podeszli do niego i [powiedzieli]: „Ty jesteś Szwabem” i go zbili. No zbili go, myśmy na to patrzyli i zupełnie nie rozumieli, dlaczego on jest Szwabem. Oczywiście, skończyło się nasze wspólne zwiedzanie, nie wiem, jak on długo jeszcze był w Warszawie u swojego ojca, wrócił tam. To taki akcent, gdzie wyraźnie się wyczuwało, że Niemiec czy taki „Niemczak”, czy jakiś facet, który nie jest wyraźnie Polakiem, może być tu wrogiem. Bo oni tak to poczuli, po buzi go nabili i wydaje mi się, że uważali, że to jest taki jak gdyby czyn patriotyczny. Przecież mogli nas również pobić, a my już trochę pewnie inaczej mówiliśmy, bośmy się zaaklimatyzowali już w Warszawie i dlatego myślę, że to mógł być 1943 rok.

W Lublinie czystość języka polskiego jest bliska [języka] literackiego i nie ma żadnego akcentu. Natomiast na Pomorzu, Kociewie, pogranicze Kaszubszczyzny było dosyć skażone. U nas nie mówiło się literackim językiem, zwłaszcza że przed wojną byli nauczyciele, którzy uczyli po kaszubsku, mówili po kaszubsku też w szkołach, czy po kociewsku i to skażenie było oczywiście gwarowe, było dialektyczne, ale silne, głównie w akcencie. Tak te wszystkie samogłoski [były] przyduszone. Różnicy między „i" a „y" praktycznie nie było. Nie mówiło się tam „myśmy", „robiliśmy", tylko „robiliśmi", to wszystko było pomieszane. „Ryba" to była „riba", nie mówiło się „ryba". Wpływ niemczyzny polegał między innymi na zakłóceniu artykułowania samogłosek. Ja sobie nie przypominam w tej chwili, co on takiego mówił, o co akurat nas pytał, że ci przechodzący zauważyli, ale wystarczy, jeżeli co drugie słowo kończył tym niemieckim „nie". „Pójdziemy tam, nie? Może napijemy się czego, nie?". To jest stylistyczna forma niemieckiego „*nicht*". „*Ich gehe nicht*?". Mnie trudno powiedzieć, co było przyczyną [tego pobicia], ja wtedy nawet nie widziałem żadnej różnicy w tym, co my mówimy, jak mówimy, a jak mówią warszawiacy, chociaż później to bardziej ostro wyczuwałem jakąś różnicę. Nie wiem, co stało się powodem i przyczyną, jaki wyraz, jakie zdanie, co oni usłyszeli w jego ustach. Być może to sprawiło, że podeszli i że zaczęli o coś nas pytać. Ja wiem, że chyba ja i mój starszy brat coś tam później [powiedzieliśmy]: „Przecież on nie jest Niemcem", no jakoś tak, bo oni tę niemieckość u niego wyczuli. No może [też] spodnie, tak myślę, on był w takich pumpach, to może też sprawiło, że wyróżniał się na tle osób, które w tych zaułkach Starego Miasta [były]. To takie przeżycie, które dla nas było niefortunne, bo później temu ojcu próbowaliśmy coś wyjaśnić. Ten chłopak w ogóle nie wiedział, o co chodzi, nie miał zielonego pojęcia. Jego ojciec – oficer polski, a tu go biją za to, że on Niemiec. To takie pomieszane chyba zupełnie sytuacje były.

Byłem świadkiem dwóch rozstrzeliwań przez Niemców dokonanych na więźniach, których przywieźli, wysadzili, tłum ludzi tam jak gdyby rozgarnęli, karabinek maszynowy [mieli] i strzelali, wszyscy padali. Te obrazy ja mam do dzisiaj, bo dla dziecka to jest olbrzymi jakiś wstrząs. Idzie człowiek, związane ma ręce do tyłu i my wszyscy patrzymy na ten drut, bo to jest nietypowe. Ale nie wiemy, że on w ustach ma gips. Tego już nie widzę, ja na oczy nie patrzę, ten drut mnie najbardziej fascynuje. Później go stawiają, przy nim ten drugi, trzeci, i padają. I ci ludzie już nie ruszają się, ktoś tam nogą wierci, bez żadnego krzyku. No i gipsowano [ich], to na Piusa XI [było], tutaj przy tak zwanej małej Paście. Była ta duża Pasta i takie małe oddziały jak gdyby telekomunikacji. Tam jedna zbiorowa taka egzekucja [była], tam jest tablica, później w tym miejscu upamiętniono tę tragedię, a druga w Alejach Jerozolimskich przy Marszałkowskiej. Też już tych domów nie ma, tego muru, pod którym postawiono przywiezionych z Pawiaka więźniów i rozstrzelano. To był wstrząs dla nas.

Jeździliśmy tramwajem do tej naszej ciotki, która w szpitalu na Puławskiej mieszkała i była. I stamtąd przywoziliśmy jakieś dobra, czasami chleb, ale i masło kakaowe, ale i

masło, margarynę jakąś. Ona gdzieś to tam jakoś organizowała i swoim krewnym dawała, jeszcze miała też takiego podopiecznego, krewnego, którego zaopatrywała. Zresztą nie tylko jednego, u niej cały czas tam jacyś Pomorzacy się kręcili. W karetkach pogotowia na przykład kierowcami byli Pomorzacy, korzystali z tej znajomości. Ponieważ to był szpital w części niemiecki, a Pomorzacy znali język niemiecki, to było dosyć wygodne, bo Niemcom już nie wpadło nigdy do głowy, żeby sprawdzić, kim są ci kierowcy. A ci kierowcy karetką jechali gdzieś, to się zatrzymali przed naszym domem, coś tam przywieźli, bo to byli też w rozmaitym stopniu zaangażowania kurierzy. Drugiego takiego też krewnego mieliśmy, który pracował przy przedsiębiorstwie transportującym drób do Trzeciej Rzeszy. Ten drób, który tutaj z kontyngentów zabierano rolnikom – gęsi, kaczki, kury – przez jakiś czas znajdował się na terenach tego przedsiębiorstwa w Warszawie, gdzieś na Kole i stamtąd później segregowany, albo zabijany, albo nie, i przewożony do Niemiec. Myśmy tam mogli w niedzielę wejść, bo w niedzielę się nie pracowało, oczywiście posterunki niemieckie były, on był jednym z tych pracowników, który, nie wiem, liczył, szeregował, taką jakąś wykonywał pracę, ale musiał być kierownikiem jakiejś tam, powiedzmy, sekcji kur czy gęsi, czy coś takiego, i myśmy zawsze byli tam obdarzani jajami, jakimś drobiem, mięsem czy czymś. To duża była dla nas pomoc. Tam również ubijano te ptaki i solono, mięso solone było, solone gęsi i tak dalej. I przed powstaniem warszawskim, na krótko – bo to się przecież wiedziało, że to powstanie wybuchnie – on przywiózł do nas całą beczkę solonej gęsiny, którą się zaniosło do piwnicy i ona tam stała, nikt tego nie tykał. Później się okazało, że to jedyna była właściwie potrawa w czasie powstania, jak już się całe zapasy wyczerpały. Polacy mieli coś w sobie, że robili zapasy. Bo to nigdy nie wiadomo, kiedy się coś skończy, kiedy przestanie już funkcjonować. Chleb, ziemniaki, ocet, takie rzeczy, to wszystko było w zapasie, gdzieś tam w spiżarniach i w piwnicach się znajdowało. To dawało możliwość [przyrządzenia] jakiegoś posiłku w czasie powstania warszawskiego.

Data i miejsce nagrania	2006-02-21, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"